

# Stanisław Mikke

---

## Przeciw igrzyskom

---

Palestra 42/1-2(481-482), 50-53

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



---

STANISŁAW MIKKE

## Przeciw igrzyskom

Uzależniony, jak wielu, od informacyjnych programów telewizyjnych, staram się nie opuszczać przynajmniej tych najważniejszych, chociaż coraz częściej, zwłaszcza podczas oglądania „Wiadomości” zadaję sobie pytanie, czy jest ktoś odpowiedzialny za to, co serwuje się kilkumilionowej publiczności? Bo czy naprawdę na wielominutową uwagę (zamiast – jeśli już – to na trzydziestosekundową) zasługiwało zabójstwo dwóch mężczyzn w hotelu „Marriott” w Warszawie? Czemu, niech to ktoś spróbuje wytłumaczyć, służyły długie sekwencje z hotelowymi korytarzami, podanie numeru pokoju, w którym znajdowały się zwłoki i ich dokładnego usytuowania oraz informowanie o szczegółach związanych z zamieszkaniem jednego z późniejszych denatów, a także o okolicznościach makabrycznego od-

krycia. Później jeszcze podano, iż goście, żywi goście, w niczym się nie zorientowali, albowiem nieboszczyków wyniesiono „kuchennym” wyjściem, co zilustrowano długim, jakby oczekującym na trupy, obrazem zaplecza hotelowego. Rozumiem, niespełniony jakiś operator, któremu marzy się kręcenie filmów kryminalnych. Tylko czy nie ma nikogo, kto zastanawiałby się nad dobrem materiałów w porze najwyższej oglądalności?

To był szczególnie rażący, ale przecież nie wyjątkowy, przykład bezsensownego epatowania widowni podług najgorszych, zachodnich wzorów. Jak gdyby nic ważniejszego nie działo się na świecie, telewizja państwowa rozsmakuje się raz po raz w krwawej makabrze. Ktoś może powiedzieć, że w ten oto sposób wychodzi się naprzeciw społecz-

nym oczekiwaniom. Wszak istnieje zapotrzebowanie na taką prawdziwą, a nie zmyśloną sensację, zwłaszcza jeśli dodaje się, gwoli uspokojenia, że ofiary to postacie z półświatka, a motywem zbrodni są jakieś mafijne porachunki. Ten ostatni suplement o ofiarach jako gangsterach towarzyszy ostatnio niemal każdej informacji o zabójstwie i tylko można podejrzewać, że często niewiele to ma wspólnego z prawdą.

Skąd bierze się ta ciekawość, a nierzadko jakiś rodzaj pociągu do wszelkich okropieństw? W niedawno wydanym, pięknym i mądrym opowiadaniu Władysława Terleckiego pt. „Piasek”, pisarz tak przedstawia przeżycia jednego z bohaterów zaciągniętego siłą na widownię amfiteatru, gdzie odbywały się walki gladiatorów.

„Domyślił się, kiedy na arenie pokazali się gladiatorzy. Szum stawał się z każdą chwilą potężniejszy. Widownia niecierpliwie oczekiwała na pierwszy akt dramatu. Siedział ciągle z pochyloną głową i powtarzał w duchu, iż nie może otworzyć powiek do chwili, gdy igrzyska się skończą i można będzie wyjść. Gwar zmieniał się tymczasem w krzyk. Krzyk ten był wołaniem, którego nie sposób było pojąć. Dopiero gdy nagle podniósł powieki i zobaczył, jak na arenie klęczący nad swoją ofiarą zwycięzca wbija krótki nóż w szyję ofiary, zrozumiał, że było to właśnie wołanie o krew. I sam zaczął wówczas krzyżeć. Okrucieństwo okazało się siłą, której nie mógł już pokonać. Skomlała dusza, a ciało domagało się tamtego widoku. Jeden raz wystarczy, aby doznać porażającego olśnienia. Od tamtego dnia gorliwie uczestniczył we wszystkich igrzyskach. Aż do chwili, kiedy zaczęto sprzątać arenę”.

Zapewne tak jest, że owa potrzeba tkwi od dawien dawna, jeśli już nie od początku, w ludzkiej naturze. Czy jednak potężne medium powinno temu schlebiać? Czy dzisiejsza cywilizacja nie stawia innych nieco wymagań?

Zastanawiam się nieraz, czy surowe oceny tego, co wokół się dzieje, wynikają z pewnego bagażu doświadczeń, mówiąc wprost, z przybywających lat? Czy też są jednak jakieś obiektywne uniwersalne kryteria pozwalające na podobne osady niezależne od wieku.

No więc jak to jest? Czy na przykład, słysząc z ust szybko i dobitnie mówiącej telewizyjnej prezenterki o aferze wokół prezydenta Clintona jako „aferze roz-porkowej”, ktoś bardzo młody też skrzywi się z niesmakiem? I zada pytanie o szeroko rozumiane kompetencje tak zwanego redaktora odpowiedzialnego.

Muszę się przyznać, że tym wstępem odsuwam niemal podświadomie i wbrew zasadom, które kiedyś przekazywał mi nauczyciel dziennikarskiego rzemiosła, moment poruszenia spraw najbardziej dziś aktualnych dla ludzi związanych z wymiarem sprawiedliwości. A dotyczących całego społeczeństwa, bo na każdego w ten czy inny sposób oddziałuje kondycja organów porządku prawnego.

Jest to temat – rzeka, rozpatrywany dziś w trudnych do zliczenia płaszczyznach. Co do jednego chyba wszyscy się zgadzają: głęboka zapaść wymiaru sprawiedliwości jest faktem. Stan ten pogłębia się wręcz z miesiąca na miesiąc. Narastał zresztą lawinowo przez ostatnie lata i choć mówiło się o tym często, to niezłe socjotechnicznie prowadzona neopropaganda sukcesu przytłumiła nieco w odbiorze społecznym ten problem.

Tymczasem od dłuższego czasu chwieje się autorytet władzy, stanowiącej filar każdego demokratycznego państwa. I naprawdę nie z winy bardziej lub mniej właściwych wypowiedzi.

Stało się jednak coś bardzo niedobrego. Niektórzy, a bywa, że są wśród nich najmniej albo w ogóle nie odpowiedzialni za kryzys sądownictwa, zaczynają wskazywać palcem w naszą, adwokatów stronę. Środki masowego przekazu zaś z wielkim upodobaniem to podchwytyją. Coraz częściej zatem publicznie wytyka się adwokatom utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Mieliliśmy z tym do czynienia zarówno podczas przekazów telewizyjnych z rozprawy przeciwko oskarżonym o wielki, ponoć największy napad rabunkowy oraz z innej jeszcze sprawy – w której kilkudziesięciu pokrzywdzonych jest świadkami incognito. Zdarzyło się też, iż w poważnej publikacji wśród najistotniejszych przyczyn, prominentny – rzecz można – sędzia wymienia „niezdyscyplinowanie uczestników postępowania, a szczególnie oskarżonych i ich obrońców, w sprawach aferowych i dotyczących zorganizowanej przestępczości”. I dalej autor ten pisze: „Podobne zachowania oskarżonych i obrońców są zmorą sal sądowych, ale w konsekwencji najłatwiej obciążać sędziów”.

Przekazywanie tego rodzaju sygnałów szerokiej publiczności, o rzucaniu sądom kłód pod nogi przez adwokatów, niczemu dobremu nie służy. Bo przecież każdy wie, że tzw. sprawy aferowe stanowią margines działalności sądowej. To oczekiwanie miesiącami, a najczęściej latami na wpisy w księdze wieczystej, rozpoznanie sprawy rozwodowej lub banalnej często sprawy cywilnej, nie mówiąc już

o sprawach gospodarczych, wytwarza taką, a nie inną atmosferę wokół sądownictwa.

A co do wniosków obrońców utrudniających życie sądom... Każdy sprawnie działający sąd dysponuje dostatecznie skutecznymi instrumentami, aby przeciwdziałać akcjom obrońców (nie mówiąc już o zachowaniach niezdyscyplinowanych oskarżonych), jeśli rzeczywiście są niczym nieuprawnione. Wszędzie na świecie obrońcy usiłują wykorzystać procedurę, by z najrozmaitszych powodów nie dopuścić lub opóźnić rozpoczęcie procesu. Ale jakoś wszędzie sądy dają sobie z tym radę. I nie potrzeba u nas przywoływać argumentu, który usłyszeliśmy z ust pewnego sędziego przewodniczącego, o kosztach, na jakie są narażeni podatnicy wskutek wniosków obrońców, bo od tego rodzaju populistycznych hasła akurat sąd powinien być wolny.

Patrząc na całość zjawiska trudno nie wiedzieć, że większość adwokatów w przytłaczającej liczbie przypadków jest zainteresowana szybkim wyrokiem. Najczęściej jesteśmy poddawani naciskom klientów oczekujących zakończenia stresujących dla nich sytuacji. Z drugiej zaś strony żyje się, jeśli tak można powiedzieć, z nowych spraw i lepiej, jeżeli starą, przepraszam za kolokwializm, mamy z głowy.

Nie chcę twierdzić, że wszyscy wśród nas są aniołami. O rzeczywistych jednak adwokackich przewinach, jeśli utrudniają wymierzanie sprawiedliwości, winny być powiadamiane organa samorządu, bo są i od tego, aby wyciągać stosowne konsekwencje. Dlatego nie przyjmuję do wiadomości np. ustnego uzasadnienia prokuratora odmawiającego mi wyraże-

nia zgody na przejrzenie akt, który mówi, że nie może robić wyjątków, a w adwokaturze są czarne owce. Ale to przecież nic w porównaniu z wypowiedzią cytowanego już wcześniej sędziego, który na łamach *Rzeczpospolitej* z 5 lutego br. pisze: „Mówi się też, że milion dolarów okupu za porwane w Warszawie małe dziecko miało być przeznaczone na obronę bandy Rympałka, ale ja nie mogę i nie chcę w to wierzyć”.

Przepraszam, czemu ma służyć ta wypowiedź? I chyba należy zapytać: co oznacza zwrot – „Mówi się”? Kto, gdzie i kiedy to mówił? Takie stwierdzenie jest zresztą co najmniej ryzykowne. Bo zazwyczaj, jeśli mówi się, żeby już zostać przy tej konwencji, o bardzo wysokich kosztach obrony, to najczęściej ten, który to mówi, ma na myśli... dzielenie się takim honorarium. W ogóle zaś rzucanie tego rodzaju, z ostrożności nieco zawołanych pomówień, jeśli nie mają wsparcia w rzeczywistych faktach, uważam za wyjątkowo szkodliwe. Nie ma bowiem nic gorszego, jak – nawet, być może, nie do końca świadoma – próba wzniecania antagonizmów między społeczeństwem a adwokaturą i adwokaturą a sądownictwem.

Trzeba też wyraźnie powiedzieć: nie było i nie ma konfliktu między sądownictwem a adwokaturą. Adwokaci są zbyt blisko sądów, by nie byli zaintere-

sowani wprost wysokim, najwyższym autorytetem wymiaru sprawiedliwości. Ich pozycja bowiem jest w dużym stopniu tego autorytetu pochodną.

Artykuł w *Rzeczpospolitej* opatrzony został tytułem „Gier wojennych ciąg dalszy”. Przyczyn ataków na sędziów autor upatruje w chęci zaspokojenia społeczeństwa przez obecne elity polityczne. O chleb trudno – kontynuuje autor „Gier...” – zatem pozostają igrzyska z udziałem sędziów w charakterze zwierzyny.

Nie, nie chcę powiedzieć, że ktoś usiłuje wpełznąć na arenę inne ofiary. Odwołanie się przez pana sędziego do rzymskiego powiedzenia robi tu zresztą wrażenie li tylko pustego chwytu retorycznego. Ktokolwiek jednak znalazłby się na takowej arenie, korzyści czerpać będą inni, zwłaszcza zaś ci „rzeczywiście zagrożeni”, którym na rękę wszelaki chaos. Nie będzie wśród beneficjentów tego rodzaju igrzysk ani autora cytowanej publikacji *Rzeczpospolitej*, ani środowiska sędziowskiego i adwokackiego. Nie będzie tam nikogo z tych, którym leży na sercu prawdziwie sprawiedliwy, demokratyczny porządek.

Jest więc czas najwyższy, by niepotrzebną wojenną, konfrontacyjną retorykę, skądkolwiek by pochodziła, zastąpić spokojną, rzeczową rozmową o tym, co czynić.